




ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



Bolesław Olszewicz.

W pilnej sprawie naukowej.

Chciałbym zwrócić uwagę na dziedzinę dotąd dla nauki polskiej niewyzyskaną — na dawne opisy Polski, podróże Polaków i nasze dawne dzieła geograficzne.

Wprawdzie niejednokrotnie wymieniano i zestawiano dzieła z tej dziedziny (Dubois, Bentkowski, Lelewel, Wiszniewski, Plebański), wprawdzie układano spisy podróży po Polsce (Załoski, a ostatnio w Bibliografii Finkla), lecz głębiej w rozbiór tych pisarzy nikt nie sięgnął, a ostatnie zbiory opisów Polski datują z XVIII wieku (Mieler). Wyjąwszy parę przedruków oddzielnie wydanych i parę lichych tłumaczeń, mamy z tej dziedziny zaledwie dobre wydania: Kromera, Kwiatkowskiego, peregrynacyi Rymockiego i Oświecimia, reszta rozproszona po księgach, często u nas niedostępnych, lub ukryta w rękopisach. Przyczyny zapomnienia, w jakim ten dział pozostaje, są łatwo zrozumiałe dla każdego, kto się zajmuje dziejami naszej nauki. Pomimo niejednokrotnie wyrażonego życzenia, by specjaliści zajęli się historią nauki polskiej, wypowiedzianego np. przez profesora Smolkę na zjeździe historycznym im. Jana Kochanowskiego, dziedzina ta rosła do ostatnich czasów jedynie w liczbę prac kompilacyjnych. Rzadko zato pojawiały się prace oryginalne. Stan ten od lat kilku zmienił się na korzyść, a powstała przy Akademii Umiejętności w Krakowie komisya do badań nad historią nauk przyrodniczych i matematycznych ruch ten rozwinęła jeszcze bardziej.

Historję polskiej geografii, której zadaniem

powinno być badanie dziejów tej nauki u nas i dziejów geografii Polski, pierwszy uprawiał Joachim Lelewel. Jednakże, podczas gdy na zachodzie od czasu naszego wielkiego historyka badania dziejów geografii posunęły się naprzód, u nas do ostatnich lat było to pole naukowe rzadko uprawiane. Dopiero prace z ostatnich dziesięciu lat: prof. Bujaka, Birkenmajera i Eug. Romera, przy ogólnym rozwoju historii kultury polskiej, zmieniły częściowo ten smutny stan rzeczy. Zresztą były to prace oddzielne — wyjątki, a nie żywy ruch planowy. Ten brak zainteresowania się dziejami polskiej geografii oraz naszymi dawnymi opisami podróży jest główną przyczyną, dla której dziedziny tej nie znamy i nie doceniamy. Niestety, obcy odkrywali w naszej literaturze z tego działu skarby, o których myśmy powtarzali tylko zdanie Wiszniewskiego lub Bentkowskiego. Tak było np. z Michowitą, którego zasługi geograficzne pierwszy ocenił dr. Michow z Hamburga; to też nie dziw, że zwać go zaczynają „un medecin allemand“¹⁾.

Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że jeśli zapomnienie, w jakim ten dział literatury geograficzno-podróżniczej pozostaje, ma swą przyczynę w braku umiejętności nad nią badań, to z drugiej znów strony trudno jest pracować u nas na polu historii geografii, nie mając należycie uprzywilejowanych źródeł. Stąd wnioszek,

¹⁾ Zob. Delavaud. Les Français dans le Nord... Rouen 1911, str. 65.

że posunąć trzeba pracę na tem polu w dwóch kierunkach t. j. trzeba wydawać źródła, badając je równocześnie dla budowy gmachu historii naszej geografii. Nie należałoby zaniedbywać i bibliografii, oczywiście zarówno geograficznej jak i kartograficznej. Dzisiejszym potrzebom nie wystarczają już dotychczasowe, a wielce zasłużone dzieła bibliograficzne Bentkowskiego, Janockiego, Wiszniewskiego, Estreichera, Żebrowskiego i Rastawieckiego. Brak nowych krytycznych bibliografii specjalnych daje się już odczuć.

Znaczenie działu naszej literatury naukowej, o którym wyżej była mowa, jest bardzo duże nawet poza historią geografii. Geograf znajdzie w tych dziełach bogaty materiał do porównania stanu dzisiejszego z przeszłością. Będzie to materiał podobny do tego, jaki się kryje w archiwach, a którego znaczenie dla krajoznawstwa Francji znakomicie ocenił Demangeon¹⁾.

Historyk znajdzie w tej dawnej literaturze geograficznej wiadomości o stanie Polski w różnych okresach, w opisach Polski, napisanych przez cudzoziemców, zainteresuje go sąd ich o naszym kraju, wreszcie znajdzie on wiele drobnych wzmianek, które z korzyścią dla nauki zużytkuje²⁾.

Ciekawy również materiał znajdzie tu dla siebie historyk polskiej kultury i oświaty. Do zainteresowanych zaliczyć możnaby i przyrodników ze względu na wzmianki meteorologiczne lub dotyczące flory i fauny Polski (np. wiadomości o turze); słowem udostępnienie literatury geograficznej, o Polsce lub przez Polaków dokonanej, przyniesie niewątpliwie korzyści całemu naszemu światu naukowemu.

Jakże przedstawia się wydanie źródeł tego rodzaju w innych krajach, gdzie praca naukowa

w ciągu ostatnich stu lat nie była tak jak u nas przerywana przez polityczne wypadki. Na pytanie to postaram się odpowiedzieć dowodami, że dziedzina ta ku pożytkowi nauki została tam należycie wyzyskana, wymienię więc parę wydawnictw, które się do tego przyczyniły. We Francji znakomite wydawnictwo „Recueil de voyages et de documents pour servir à l'histoire de la géographie depuis le XIII-e siècle jusqu'à la fin du XVI-e siècle“, założone przez Karola Schefera i Henryka Cordiera, (dotychczas wyszło 21 tomów) znakomicie przyczyniło się do rozwoju historii geografii. Już przedtem jednak paryskie Tow. Geograficzne wydało szereg dawnych dzieł w czterotomowym „Recueil de voyages et de mémoires“, a z prywatnej inicjatywy udostępniono dawne francuskie podróże (Lery, Theveta etc.).

W Anglii i Holandyi istnieją specjalne towarzystwa (Hakluyt Society i Linschoten Vereeniging), które zajmują się wydawaniem przedruków dawnych dzieł geograficznych.

W Niemczech dużo dzieł z tej dziedziny wyszło kosztem prywatnym. Przedruków znajdujemy tam bardzo wiele z dziedziny, która nas zajmuje. Tworzą one pokaźną liczbę w zbiorze „Quellen und Forschungen zur Erd- und Kulturkunde“, w „Drucke und Holzschnitte d. XV u. XVI Jdts. in getreuer Nachbildung“ i w innych podobnych wydawnictwach.

Wreszcie w Rosyi dawne podróże po tym kraju są udostępnione w przedrukach i tłumaczeniach.

W ostatnich czasach wspominały pisma geograficzne o projekcie utworzenia międzynarodowego Towarzystwa im. Humboldta, które ma się zająć wydawaniem dawnych pomników geografii i kartografii.

Z tego, com wyżej podał, jasne jest chyba, że, aby u nas uprzystępnić badaczom źródła geograficzno-podróżnicze, należy przystąpić do planowego wydawnictwa naukowego, zaopatrzonego w aparat krytyczny i bibliograficzny.

Nie powinniśmy się tem zrażać, żeśmy w historii geografii i odkryć nie odegrali pierwszorzędnej roli. Wynikało to z położenia geograficznego Polski, jednakże faktem jest, żeśmy pewną rolę odegrali, że pierwsi badaliśmy Europę Wschodnią, że współczesnymi odkryciami interesowaliśmy się i zajmowali postęпами geografii. Przedewszystkiem zaś oddawna trudniiliśmy się badaniem ziemi ojczystej. Dawne zaś nasze opisy podróży, nieliczne może liczebnie, nie ustępują pod względem wartości opisom podróży innych narodów nieżeglarskich.

¹⁾ Les sources de la géographie de la France aux Archives Nationales Paris 1905 (część I — La Géographie dans les archives).

²⁾ Por. wstęp do Liskego (Cudzoziemcy w Polsce, Lwów 1876). J. I. Kraszewski, wydając w Kalendarzu Ungra na r. 1872 podróż po Polsce z 1776 r., pisze w przedmowie: (str. 112) „Zebranie wszystkich podróży, w różnych czasach przez cudzoziemców po kraju naszym odbytych, dostarczyłoby materiału zajmującego do charakterystyki i historii obyczajów. Jest niezaprzeczoną rzeczą, iż oczy obcego człowieka prędzej rysy wybitne pochwyć mogą, niż tych, którzy z nimi obcy od dzieciństwa nie widzą już stron pewnych przedmiotu i nie znajdują wcale dziwnym i godnym wspomnienia, co rzeczywiście ciekawem jest i znaczenia pełnem. W podrózach, które chronologicznie zebrać należało, jest wiele wzmianek o ludziach, o życiu, o gospodarstwie, o pracy, dla dziejopisa dających wskazówki do rozpoznania istotnego stanu i bytu kraju“.

Takie wydawnictwo polskie, któremu należałoby dać ogólny tytuł *Monumenta Poloniae Geographica* (Pomniki Geografii Polskiej), powinno powstać jako nieperyodyczna biblioteka, przyczem dla ułatwienia nabycia poszczególnych tomów, każdy z nich powinien stanowić oddzielną całość. Oczywiście każdy tom prócz tekstu i tłumaczenia polskiego, co jest nieodzownym warunkiem jego poczytności, zawierałby wstęp (biografia autora lub autorów, rozbiór dzieła), oraz bibliografię wydań dzieła i prac o autorze i jego dziele. Zresztą co do wydawania tekstów należałoby wzorować się na wydaniach Akademii Umiejętności.

Wobec wzmózonego obecnie ruchu krajoznawczego w Polsce, dodanie tłumaczenia polskiego do dzieł obcych, traktujących o naszym kraju, jest niezbędnym warunkiem ich poczytności, a co za tem idzie ułatwieniem sfinansowania wydawnictwa. Za dodaniem tłumaczeń przemawia wreszcie konieczność nawiązania tradycji z dawnym krajoznawstwem, przez co ruch dzisiejszy otrzyma trwałe, historyczne podstawy. „Monumenta“ będą wówczas czytane nie tylko przez uczonych: geografów lub historyków, lecz i przez szerszy ogół. Zyska na tem nauka i popularyzacja krajoznawstwa i dziejów naszej kultury.

„Monumenta Poloniae Geographica“ składałyby się z trzech seryi (ewentualnie później możnaby dodać czwartą — kartograficzną). Pierwsza z nich — to opisy Polski lub jej prowincyi, gór, rzek i miast, przez Polaków lub cudzoziemców dokonane. W tym dziale bardzo wiele byłoby do wydania. Po pierwsze wyjątki z pisarzy średniowiecznych łacińskich i arabskich, dotyczące Polski, „chorografia“ Długosza¹⁾, Sarmacya Miechowity, opis Mazowsza Święcickiego, opisy Polski Theveta Gilberta de Lannoy i Münstera, opis Ukrainy Beauplana, wreszcie cały szereg niewydanych i nieznanych prac.

W seryi drugiej, która zawierać winna opisy podróży Polaków po obcych krajach, pomieszczone byłyby: dotąd jeszcze niewydany z ory-

¹⁾ Pomimo, że opis Polski wydrukowany jest w „Dzielałach“ Długosza, jest on stanowczo niedoceniony i za mało znany. Zresztą tłumaczenie polskie „Chorografii“ oparte jest na innym (gorszym) tekście niż podany łaciński.

ginalnego rękopisu Bibl. Krasińskich opis pielgrzymki Mikołaja Radziwiłła do Ziemi Świętej, ciekawy i ważny dokument naszej literatury peregrynacyjnej, podróz do Islandyi Fettera (zachowana w unikacie w Bibl. Ossolińskich), podróz Broniowskiego na Krym, podróże Polaków na Syberję (XVII—XVIII w.) i t. p.

Wreszcie w seryi trzeciej wyszłyby dzieła geografów polskich, zarówno dawniejszych (wyjątki z podręczników XVI w.) jak i nowszych (Staszic, Kołłątaj) i t. p.

Plan niniejszy jest zresztą tylko szkicem tymczasowym; przed przystąpieniem do wydawnictwa należałoby ułożyć plan szczegółowy, robić poszukiwania w bibliotekach, że zaś znaleźć można ciekawe i nieznanne prace z tej dziedziny, dowodem tego służyć może odnalezienie w ostatnich czasach w Bibliotece Zamoy-skich w Warszawie dwóch nieznanych peregrynacji¹⁾.

Do współpracownictwa należy zaprosić szereg specjalistów, gdyż przedrukowywane prace wymagają ich pieczy. Do wyjątków z pisarzy arabskich potrzeba orientalisty, do wydania Fettera słowianoznawcy i t. d.

Przejdźmy teraz do strony finansowej wydawnictwa. Rzecz oczywista, że wydawnictwo bez finansowego wsparcia naszych instytucyi naukowych (np. Kasy im. Mianowskiego) powstać nie może. Patronat nad wydawnictwem winna objąć również jedna z naszych instytucyi naukowych, kierunek zaś wydawnictwa spoczywałby w rękach komitetu, do którego weszliby wydawcy poszczególnych tomów, obok kilku zaproszonych do współpracownictwa specjalistów.

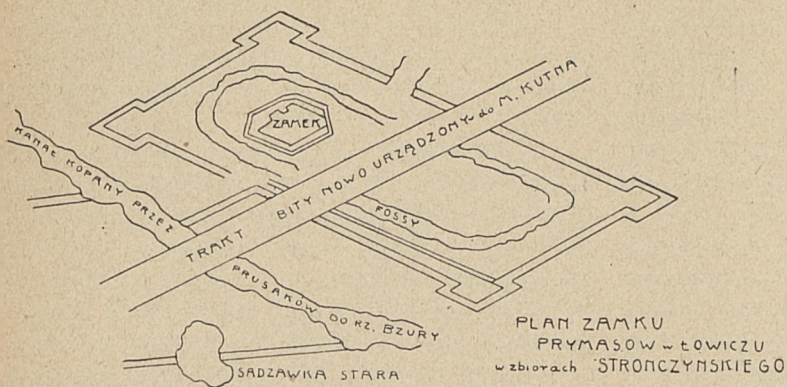
Zresztą najprzód trzeba sprawę wydawnictwa rozstrzygnąć w zasadzie. Wobec jego znaczenia dla nauki winno ono zainteresować całą rzeszę specjalistów. Obecnie, przy wzmóżonym polskim ruchu naukowym najstosowniej-szy byłby czas rozpocząć pracę wydawniczą. Dla budowy w przyszłości gmachu nauki polskiej, specjalnie zaś gmachu geografii, należy zgłębić i poznać to wszystko, cośmy dotychczas na tem polu wykonali.

¹⁾ Wyd. przez Wł. Baranowskiego w Pracach Komisji do badań nad hist. lit. i oświaty (Tow. Nauk. Warsz.) Warszawa 1914, t. I.



Elżbieta Oczykowska. Zamek w Łowiczu.

2)



papieski, jezuita Possewin, był i król Stefan Batory ze swym kanclerzem Janem Zamoyskim.

Po Karnkowskim (1581—1603), herbu Junosza, nastąpił arcybiskup Jan Tarnowski (1603—1606), który pono wchodząc do zamku, na widok herbu swego poprzednika (baranek stojący), powiedział żartem: „Wypędźcie stąd tego baranka, gdyż dość długo tu koczował“. Odnosiło się to do

Kiedy w roku 1572 śmierć ostatniego z Jagiellonów pokrywa naród ciężką żalobą, arcyb. Uchański ujmuje w rękę ster rządów państwowych i senat koło siebie gromadzi. A więc, podczas gdy senatorowie małopolscy obradują w Krakowie, w zamku łowickim zbierają się możnowładcy wielkopolscy i pruscy i stanowią uchwały na czas bezkrólewia... Stąd interrex śle uniwersał do całego narodu, śle listy do książąt ościennych, do panów litewskich i ruskich; stąd wyprawia posła do królowej Anny Jagiellonki i do Moskwy.

Kiedy zaś Henryk Walezy porzucił Polskę i na termin wyznaczony nie wrócił, Łowicz staje się ogniskiem stronników cesarza Maksymiliana: tu w zamku arcyb. Uchański ogłasza jego wybór na króla polskiego, stąd wysyła uniwersały, potępiające zjazd jędrzejowski, tu naczynia konwokacyjną, na którą przybyło tylko 2 senatorów... Tu dąży zacny Stanisław Karnkowski, biskup kujawski; tu też śpieszą wysłańcy krakowscy, aby skłonić opornego prymasa do ogłoszenia zgodnie z wolą narodu Stefana Batorego królem Rzeczypospolitej i do przybycia do Krakowa dla dopełnienia obrzędu koronacyjnego.

Arcybiskup Uchański, jakkolwiek ustawicznie zajęty sprawami publicznymi, rozszerzył jednak jako dbały gospodarz zamek łowicki i zamierzał go wzmocnić, ale śmierć mu pracę przerwała i dopiero następca jego, wyżej wspomniany St. Karnkowski, rozpoczęte dzieło do końca doprowadził; wybudował wyższą część zamku, krużgankami ją przyozdobił, mury otaczające zamek podniósł wyżej, fosę naokoło pogłębił i poszerzył, a całość wałem opasał. Prymas ten w r. 1582 w swej rezydencji przyjmował dwóch dostojnych gości: był tu poseł

długoletnich rządów zmarłego pasterza. A jeden z przybocznych prałatów odrzekł: „Miłosciwy Panie, róża (herb Tarnowskiego, zwany Rola) — kwiat piękny, ale krótkotrwały“. Jakoż przestroga ta sprawdziła się, bo Tarnowski po 3 latach sprawowania urzędu prymasa życie zakończył.

Król Zygmunt III trzykrotnie nawiedził Łowicz: w r. 1615 (czy 1616?) bawił u arcybiskupa Baranowskiego, który go przyjął z wielką gościnnością i uprzejmością i „hojnie traktował“. Ale wówczas zamek smutny przedstawiał widok, gdyż chylił się ku upadkowi. O! jakże innym znalazł go król w czasie powtórnego tu pobytu, w r. 1623, za rządów arcybiskupa Warzyńca Gębickiego, który go przed 3 laty z ruiny podźwignął z wielkim nakładem pieniędzy, gruntownie odnowił i „opatrzył w należyte środki obrony w przypadku napaści wroga zewnętrznego“.

Po raz trzeci król Zygmunt wybrał się do Łowicza w r. 1626 po zgonie arcybiskupa Henryka Firleja, który odznaczał się obok wielkiej mądrości, wysokiego wykształcenia i uprzejmej szczodrobliwości głęboką pobożnością, przeto ustawicznie do śmierci się gotował. Piszą o nim, iż „trumnę z sobą wozził wszędzie, lub przebywając w domu w osobnym gabinecie przechowywaną często oglądał, a przy swoim wspianiałym do zamku łowickiego wjeździe wyrzekł do otoczenia swego te pamiętne słowa: „Zamek ten nie jest miejscem spoczynku i długiego pokoju, ale schronieniem od Boga przeznaczonem dla oczekiwania zbliżającej się śmierci“. Na wieść o podróży królewskiej — kapituła metropolitalna zapytała Jana Wężyka, nowo wybranego prymasa, azali pozwoli wydatki na podejmowanie króla i jego otoczenia pokryć

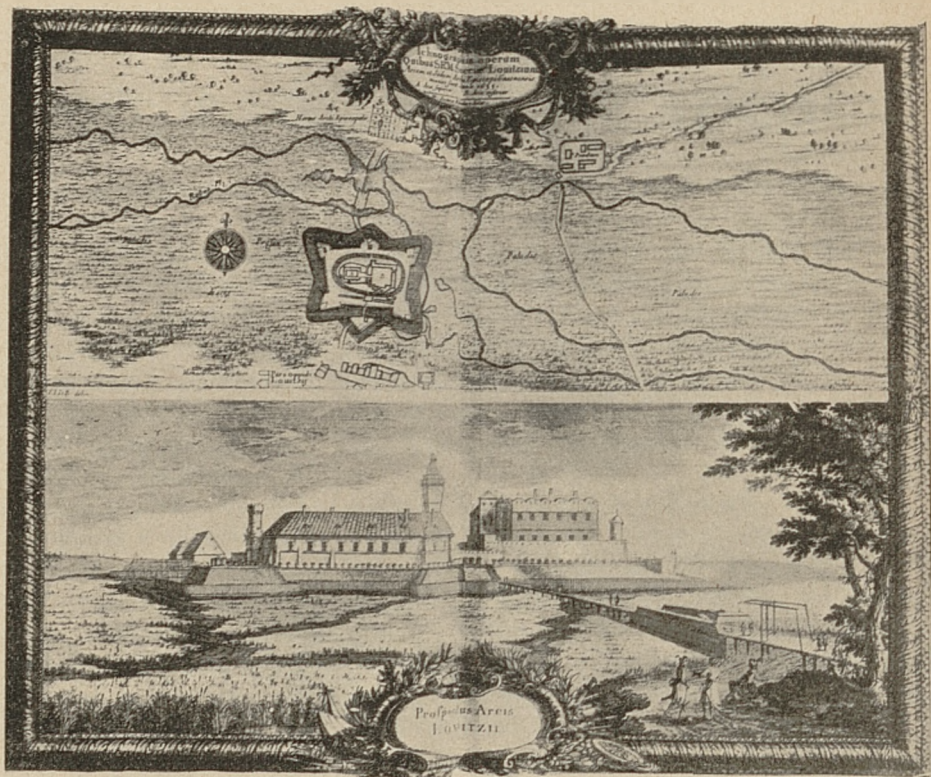
z dochodów arcybiskupstwa. W odpowiedzi przyszedł list następujący: „Illres et Adm. Rndi Dni Fratres charissimi et plurimum observandi, Nimis scrupulose W. M. agunt pytaicz mie, iesli z przyszych dochodów da Bóg moich macie W. M. Króla I. M. excipere. Niegodzienbym po ziemi chodzić, kiedybym miał Królowi I. M. tego, co mam, z dobrodzieystwa iego żałować. Im W. M. większą ochotę, o którą proszę pilno, pokażecie I. K. M. w Łowiczu, tym więczy będę powinien W. M., wszystko obiecując, cokolwiek na podeymowanie I. K. M. wydane retissimum gratissimumque habere. S czem powtore zalieczam się lasce braterskiej. W M. Torunii 4 Decembris 1626 Ioannes Epus Posnan. Nominatus Gnesnen. m. pr.“

Zapewne i tym razem „traktowano“ króla na zamku nie mniej „hojnie“, niż poprzednio. Czy „wszystko niszcząca dawność“, czy też „niezręczność rzemieślnika“ były w dalszym ciągu przyczyną, że arcybiskup Wężyk znów część południową zamku reparaował; nadto wystawił on nad bramą zamkową wysoką wieżę, umieścił w niej zegar bijący, a w ogrodzie zamkowym, będącym poza murami i połączonym z zamkiem oddzielnym mostem, urządził nad bramą mieszkanie miejskie; do ogrodu tego sprowadzał na wzór arcybiskupa Firleja przeróżne rośliny zagraniczne.

Następni arcybiskupi również troszczyli się o stan zamku i o jego ozdobę. Arcybiskup Jan Lipski (1638—1641) zbudował nową salę, a świętobliwy Maciej Łubiński (1641—1652) wystawił wysoką wieżę, wyreparował północną i zachodnią część zamku i odpowiednio ubezpieczył.

Wspaniale i groźnie przedstawiał się wówczas zamek prymasowski, wzniesiony na znacznym nasypie, otoczony wysokim murem, głębokimi fosami, palisadami, wałami, przekopami i rozlewami Bzury. Zamek z cegły palonej, z muru „miąsiego“, mającego przy ziemi grubości 4 łokcie, składał się z 2 części, z których wyższa była 3 piętrowa, a druga, niższa zbudowa-

na kosztem trzech arcybiskupów. „Mocniły go baszty większe formy okrągłej i mniejsze — również jak i wieże — kwadratowe, w różnych punktach rozmieszczone; w środku wznosiła się wieża ogromna ze swej budowli i wysokości, która była pomnikiem gustu i pięknej sztuki budowniczej; przyozdobiona u góry galerią żelazną i kształtną kopułą z blachy żelaznej i choraągwią, zdaleka widzianą być mogła“. Dziedziniec był obszerny, znajdowało się na niem źródło, które za pomocą drewnianych kanałów ustawicznie dostarczało wody. „Przy wnijsciu do zamku nad bramą główną była wyprowadzona wieża, czyniąca piękny widok, zajmująca oczy przechodniów wytwornością struktury i zielonym z blachy okryciem, jako też zajmująca uszy wielkim bijącym zegarem“. Na murach zamku były umieszczone herby, litery i 4 napisy łacińskie, które Starowski zapisał. Pierwszy napis brzmiał: „Za prymasostwa Jakóba Uchańskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, legata Stolicy Apostolskiej, prymasa, pierwszego księcia Królestwa Polskiego, pierwszego w czasie bezkrólewia senatora, założone są fundamenty tej budowy, począwszy od węgła zewnętrznego wschodniego, aż do ściany niższego zamku łowickiego w roku Pańskim 1573, a po obraniu i ogłoszeniu przezeń królem Najjaśniejszego i Najszlachetniejszego Księcia Andiwów, Burbonów i Alwernów i po oddaniu mu królestwa, oraz odbytej koronacyi, wzniesiona i dokończona w roku pańskim 1574“.



Drugi napis — w zamku wyższym — „Jaśnie Wielmożny i Czci najgodniejszy w Chrystusie Ojciec i Pan Stanisław Karnkowski z Bożej i Stolicy Apostolskiej łaski arcybiskup gnieźnieński, legat, Królestwa Polskiego prymas i pierwszy książę, rozpoczętą budowlę tę dokończył i przyozdobił w r. 1585, a swego arcybiskupstwa w roku drugim“.

Trzeci, również w zamku wyższym: „Uchański mię wybudował, Karnkowski krążgankami przyozdobił, lecz wszystko niszcząca dawność lub niezręczność rzemieślnika oboje do upadku przywiodła. Wawrzyniec Gębicki od roku narodzenia Chrystusa 1620 prawie upadła podźwignął, a jak upadku kościoła Arystey nie żałują, tak i ja upadku mego w Łowiczu nie żałuję, bo jak tamten od ognia zniszczony blachą nakryto, tak i mnie upadającego odbudowano. Niech to nieba zrządzą, aby mnie jak najdłużej zamieszkiwał, lecz że krótkie jest życie ludzkie,

niech marmur o ich szczodroblewości świadczy potomnym“.

Czwarty nad bramą zamkową: „Naprawę tego zamku, przez Jana Wężyka, arcybiskupa gnieźnieńskiego rozpoczętą i po ukończeniu strony południowej przez śmierć przerwana, drugi po nim sukcesor Maciej Łubiński, arcybiskup gnieźnieński, wznowił i, naprawiwszy stronę zachodnią i północną, oraz wyprowadziwszy wieżę ku swej i sukcesorów wygodzie, pozostawił w 1645 roku Pańskim“.

Zamek łączył z miastem długi most; miał on podwoje wiszące, które zwiedzione przerywały go i broniły przystępu nieprzyjaciolom.

Arcybiskupi — jak głosi podanie — zazwyczaj dojeżdżali do kolegiaty po moście, ułożonym wzdłuż Bzury, a sterczące do dziś dnia słupki w wodzie są śladem dawnego zwodzonoego mostu.

D. N.



Al. Janowski.

Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych. ²⁾

II. Sprawy zarobkowe.

Przybywający do Stanów Polacy zatrzymują się głównie w Stanach Wschodnich, nie licząc udając się na „Westy“. Wysoki rozwój przemysłu i bogactwa mineralne między Atlantykiem a Górami Skalistymi dają im pole do zarobkowania, to też najczęściej grupują się nasi przybysze w Stanach wybitnie przemysłowych.

Komisya imigracyjna wykazuje, że z 949,064 Polaków, którzy przybyli do Stanów w ciągu lat 12 (1899 — 1910) osiedliło się w Stanach: Connecticut 44,227, Illinois 122,741, Massachusetts 82,079, New Jersey 83,297, New York 205,430, Pensylwania 254,281, Michigan 35,971, Ohio 32,961.

W innych cyfry są znacznie mniejsze, czasem zupełnie błahe (Mississippi 19, Nevada 14, North Carolina 10), w każdym jednak stanie

jest ich potrochu: nawet na Porto-Rico osiedliło się 3, nawet na wyspy Havaii zawędrowało 15. Jedynie tylko na Filipinach nie wykazują żadnego Polaka.

Warunki pracy imigrantów były badane w 23 stanach między Atlantykiem a Górami Skalistymi. Komisya sprawdzała zarobki mężczyzn i kobiet, dzieląc pracujących na dwie grupy co do wieku, a mianowicie: od lat 14 do 18, a następnie od 18 — wyżej. W ten sposób utworzyło się po cztery tablice dla każdego rodzaju pracy, a typów pracy badano 20, z których najważniejsze są: przemysł węglowy, żelazny, cukrowniczy, rolny, garbarski, naftowy, tabacznym, wełniany, bawełniany, szklany, rzeźniczy, szewcki, krawiecki, bielizniarski, miedziany i parę drobniejszych.

Komisya wykazuje robotników polskich: w hutach żelaznych i stalowniach 7,897 „ rzeźniach 7,121

w kopalniach węgla	7,370
„ hutach szklanych	671
„ przemyśle wełnianym	2,159
„ „ jedwabnym	259
„ „ bawełnianym	8,920
„ stolarstwie	482
„ garbarstwie	2,799
„ przemyśle naftowym	1,031
„ „ cukrowniczym	1,758
„ „ tabacznym	850.

Z cyfr tych widać, że badania komisji dotknęły zaledwie drobnej garstki naszego elementu robotniczego, ale i z tego można dużo sobie wyrobić pojęcia o warunkach zarobkowania naszych ludzi. Aby wykazać zarobki naszych wychodźców, wyciągam z tablic ogólną średnią zarobku i porównanie, czy Polacy dociągają do niej, czy też nie. Zarobki są tu obliczane tygodniowo.

a) Kopalnie rudy żelaznej. Ogólna średnia 12,72 dol. Polacy zarob. 14,06 (Szwedzi i Irlandczycy po 15 dol.).

b) Huty żelazne i stalownie. Og. śr. 14,35, Polacy 12,69 (Walijczycy 22,75).

c) Przemysł wełniany. Og. śr. 10,49, Polacy 8,57 (Szkoci, Anglicy, Holendrzy po 12 dol.).

d) Przemysł bawełniany. Og. średnia 9,68, Polacy 7,84 (Bułgarzy 18, Szwedzi, Szkoci po 12).

e) Garbarstwo. Og. średnia 10,64, Polacy 9,88 (Kanadyjczycy, Duńczycy, Żydzi po 12).

f) Przemysł naftowy. Og. średnia 13,81, Polacy 12,68 (Szkoci 17, Irlandczycy 15).

Tak więc prawie wszędzie Polacy nie dociągają do ogólnej średniej zarobku, a są w zarobkowaniu znacznie prześcigani przez innych imigrantów.

Biorąc według płci i wieku, zarabiają tygodniowo:

męż. od lat 14—18 og. śr. 6,42, Polacy 5,95 dol.

„ ponad „ 18 „ „ 12,64, „ 11,06 „

kob. od lat 14—18 „ „ 5,46, Polki 5,43 „

„ ponad lat 18 „ „ 7,96, „ 7,21 „

Kobiety polskie są więc bliżej przeciętnego zarobku, niż mężczyźni.

Ciekawe jest też zestawienie rocznego do-

chodu na rodzinę. Średni dochód obliczony jest na 721 dol., lecz rodzina polska ma średnio 595, podczas gdy czeska ma 773, angielska 956, norweska 1015, a szkocka 1142, a więc prawie dwa razy tyle co polska. Nawet litewska rodzina ma wykazany dochód roczny 836 dol., a jedynie Słowacy, Rusini i Południowi Włosi mają mniej trochę od naszych.

W dorobku rodziny kobieta polska nie wnosi wiele: z całego dochodu rodziny mąż wnosi około 90 proc., reszta dorobku to praca dzieci i żony, ta ostatnia najczęściej z płacy lokatorów „bortników“, pamiętać bowiem należy, że znaczny procent przybywających Polaków, to ludzie albo bezzenni, albo też pozostawiający rodziny w kraju. 48 proc. rodzin polskich, utrzymuje lokatorów, podczas gdy u Czechów tylko 8 proc. zajmuje się tym procederem, a u Norwegów 3 proc. Stosunki rodzinne często bardzo przez owych samotnych „bortników“ ulegają rozprzężeniu, a demoralizacja bardzo się szerzy.

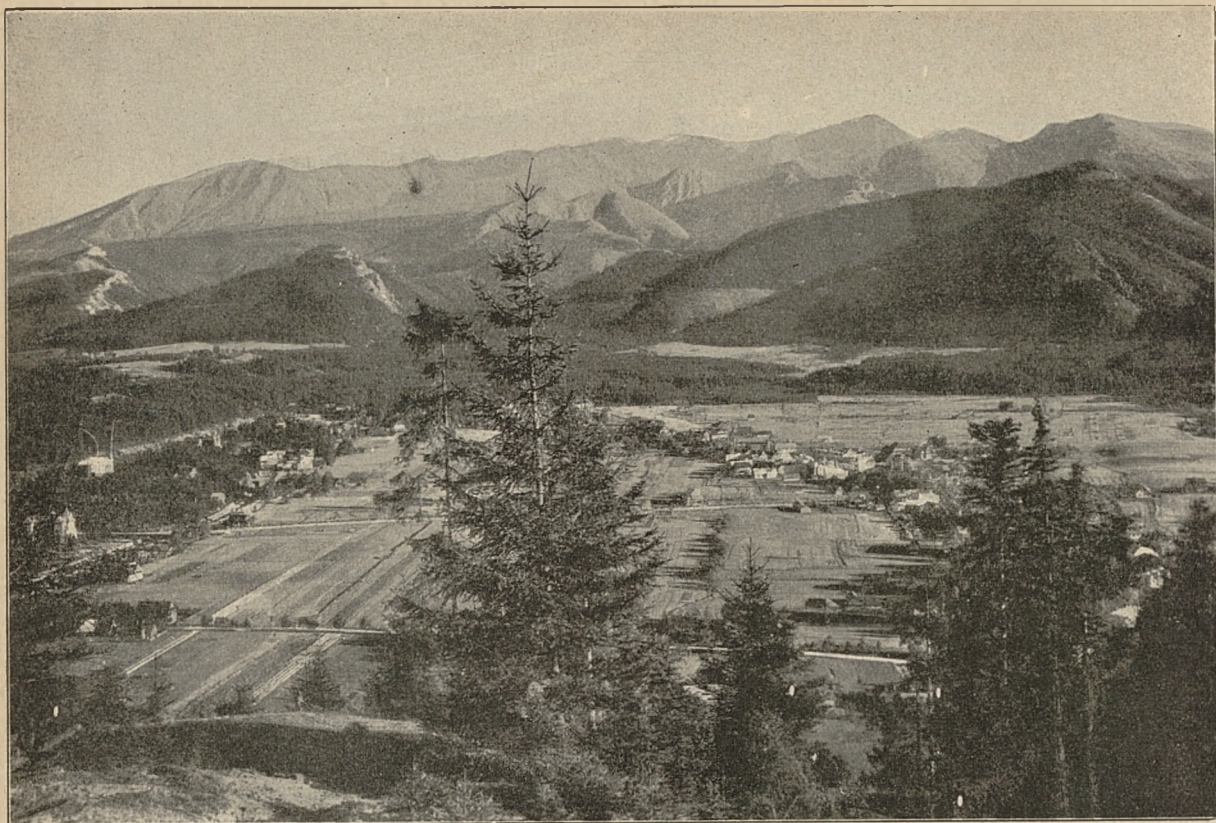
Napływ rąk roboczych naszej imigracji stanowi poważną konkurencję dla elementu dawniej już tu osiadłego, czego żywy przykład dają kopalnie węglowe Pensylwanii: nowa imigracja wyparła stąd starą, która musiała cofnąć się do stanów środkowych.

Fala nowej imigracji wtargnęła i tam za nimi, wtedy stara ponownie musiała się cofnąć, teraz do Stanów Południowych, a rezultatem tej licytacji pracy in minus jest, że zarobki dzienne w kopalniach pensylwańskich są o 42 centy (84 kop.) niższe, niż w kopalniach Stanów Środkowych lub Południowych, a godziny pracy dłuższe i warunki pracy daleko gorsze ma właśnie Pensylwania.

Na ogół biorąc, chłop polski stanowi potężną siłę roboczą w przemyśle Stanów, a zwłaszcza w gałęziach: cukrowniczej, węglowej, naftowej, garbarskiej, rzeźniczej, metalurgicznej i tkackiej. Ciężką swą pracą sprzedaje taniej od innych emigrantów, zarobki jego nigdzie nie dociągają do średniej cyfry zarobkowania, a bardzo są dalekie od wyższych zarobków. Te niepomysłne warunki należy przypisać po części nieznamomości języka angielskiego oraz niskiej skali wymagań i przewadze w imigracji osobników samotnych, bez rodziny.

C. D. N.





ZAKOPANE

fol. ze zb. Pol. Top. Krajcz.

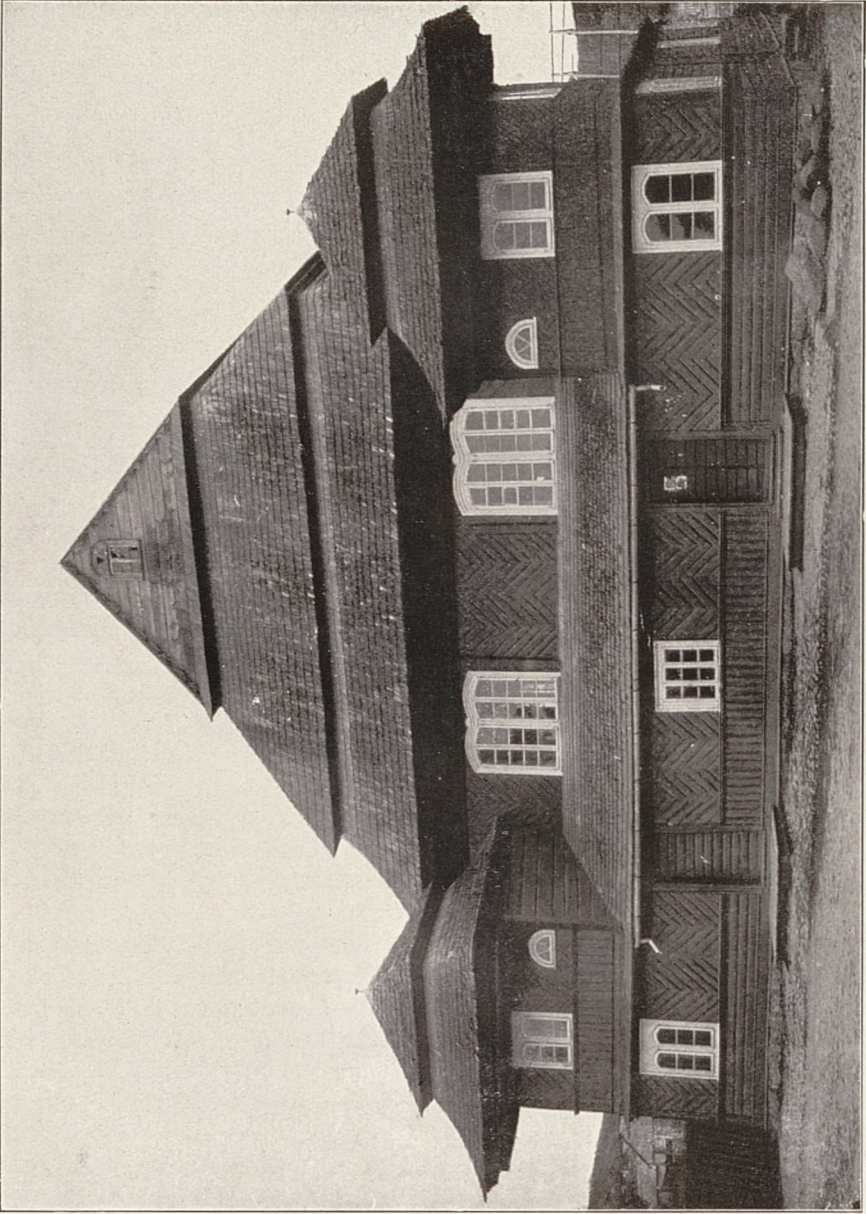
Eugeniusz Romer.

Biblioteka Publiczna w Nowym Yorku. ¹⁾

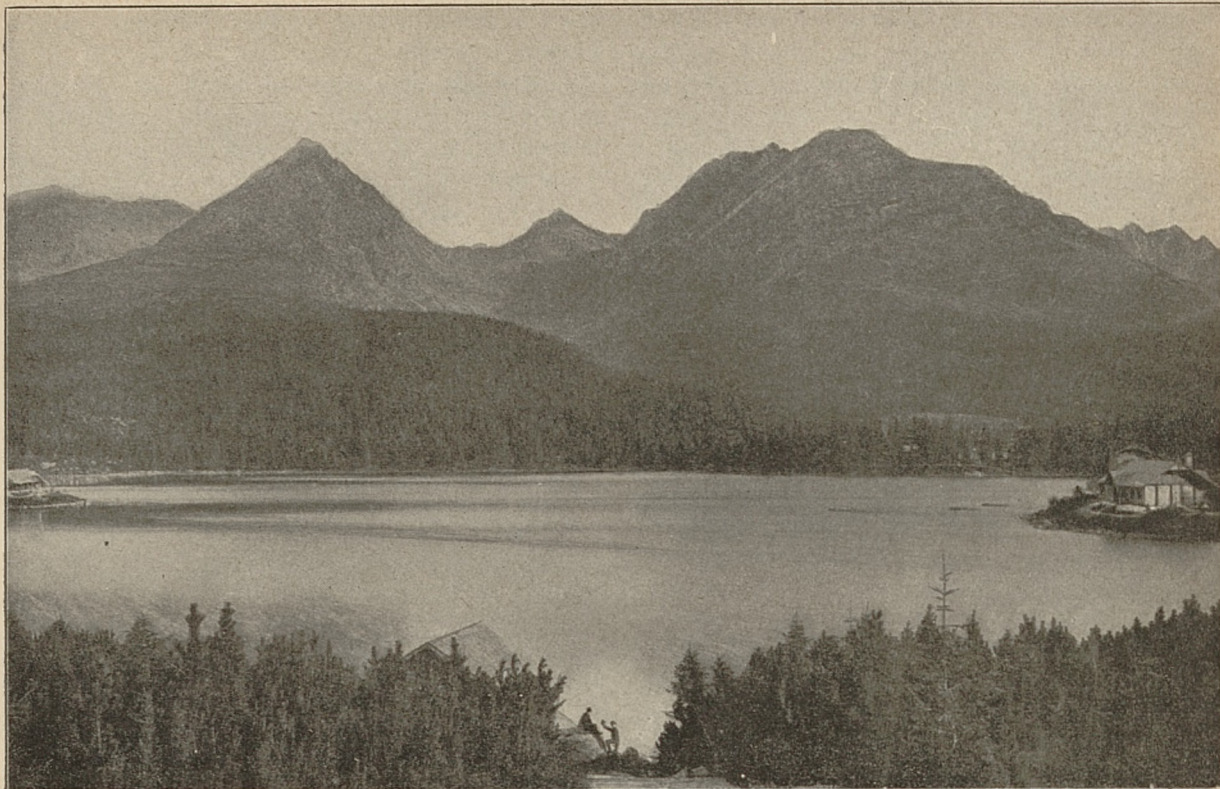
Przejechaliśmy Kanadę. Specjalny pociąg, oddany za drogie pieniądze do rozporządzenia XII międzynarodowego Kongresu Geologów, przewiózł 115 ludzi, reprezentujących 37 narodów i zapewne tyleż specjalności, związanych węzłem i interesem nauki, zwanej geologią. Widoki i problemy, rzucające się z rozległych dziedzin wyżyn, nizin i gór amerykańskich w oczy czatujących w oknach wagonów geologów, były ustawicznym przedmiotem nie zawsze spokojnej dyskusji. Nad różnorodnością kierunków i idei naukowych, która panowała w tem wędrownym ciele zbiorowym, nikt nie mógł zapanować, nikt nie mógł zdobyć autorytetu. Przy całym szacunku i uznaniu dla rozmiarów i powagi pracy pionierów-geologów amerykańskich wędrowna gromada geologów pozostawała wierną swej ideologii naukowej i tęskniła stale do zdobycia faktów, któreby ją zawiadły do indywidualnej, a tak różnorodnej możliwie interpretacji całokształtu zjawisk. W takiej atmosferze rodziło

się pragnienie jak najdalej idącego poznania literatury naukowej, dotyczącej krain, których tylko w nielicznych etapach dotykaliśmy własnymi nogami i—zawsze z największym pośpiechem—oglądaliśmy z bliska. Książki, rozprawy i mapy specjalne krążyły ustawicznie z rąk do rąk, a ciągła wymiana wiadomości wiodła do kompletnej niemal znajomości bibliograficznej geologii Ameryki i związanych z nią problemów.

Źródłowe, a nawet prawie wszystkie naukowe publikacje, dotyczące Ameryki, są niemal wyłącznie ześrodkowane w publikacjach państwowych zakładów geologicznych: Geol. Survey of Canada (G. S. C.), którego siedzibą jest Ottawa, i Geol. Survey of United States of North America (G. S. U. S. A.) z siedzibą w Waszyngtonie. Tam też i tylko tam wyłącznie są te publikacje do nabycia. Zdale od tych środowisk nie mogliśmy marzyć o zdobyciu potrzebnej nam literatury. Pozostawało kilka wzorowych dzieł, uogólniających dotych-



Synagoga w Sopoćkiniach z XVII wieku (pow Augustowski).



fol. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

JEZIORO SZCZYRBSKIE (TATRY).

czasowe wyniki badań, które były przedmiotem silniejszego a powszechnego zainteresowania.

Przybyliśmy do Vancouveru, tego zaczarowanego miasta, które wybudowało na miejscu nieprzebytego praboru w chwili, gdy pierwszy pociąg Canadian Pacificu dotarł od oceanu do oceanu, a które dziś liczy około $\frac{1}{4}$ miliona mieszkańców, ale którego wszelkie urządzenia i instalacje: ulice wspaniale asfaltowane, kanalizacja, oświetlenie, wodociągi, tramwaje są już wykonane i obliczone dla miliona ludzi. Z radością zauważyliśmy, że w rzędzie wspaniałych magazynów jest też pełno księgarń, które stały się teraz miejscem gorączkowej pielgrzymki geologów, obeznanych o tyle po przekroczeniu kontynentu z właściwościami amerykańskiego handlu, że połączenie bufetu, apteki i księgarni, a przeważnie i t. zw. magazynu „Curios“, w jedno ciało nie podkopywało naszego zaufania do instytucji, tak często zatytułowanych „Druggs and Books Company“. Tem cięższe było rozczarowanie, gdy po spenetrowaniu kilkunastu różnych księgarń przez kilkunastu wywiadowców, dowiedzieliśmy się, że pytanie o poważną książkę zamiast zaspokojenia spotykało się z politowaniem, wzruszeniem ramion lub pobłażliwym uśmiechem. W Vancouverze poważnych książek się nie czyta! Czy gdzieindziej inaczej? Oto kilka sylwet!

W Toronto, siedzibie jednego z najpoważniejszych uniwersytetów Kanady, a zarazem mieście półmilionowym, bawiłem tydzień — w oknach wystawowych księgarń widziałem mało książek poważnych, a na bliższe badania ich wewnętrznej zawartości brakło mi czasu. W ostatniej jednak chwili przed puszczeniem się w poprzek Kanady pragnąłem nabyć większą mapę tego kraju dla ogólnej orientacji. Odwiedzony przodem księgarz nie posiadał na składzie nic lepszego ponad marnie drukowaną mapę polityczną i komunikacyjną, gorszą od ogólnikowych map, które są załączane do rozkładów jazdy, używanych w Europie. Księgarz, dowiedziawszy się jednak zwłaszcza, że jestem członkiem kongresu geologicznego, bawiącego w Toronto, był bardzo uprzejmy i nie żałował czasu, by drogą telefoniczną porozumieć się z innymi księgarzami i zaspokoić moje życzenie. Niestety, uprzejmość ta pozostała bez skutku. Ten sam brak księgarń w pojęciu europejskim uderza nie tylko w małych i wielkich miastach nowych, ale również w takich potężnych lub poważnych wiekiem ogniskach amerykańskiej kultury, jak New York, Boston lub Waszyngton. Nie ośmieliłbym się twierdzić, że i w tych metropolach nie można nabyć książki poważnej, jak np. w Vancouverze lub we Winnipegu, ale twierdzę, że jest to rzeczą nie la-

twą; poważne księgarnie chowają się w bardziej zaciszne, mniej dostępne miejsca; oddane więcej handlowi eksportowemu — może w znacznej części skierowanemu do Europy, unikają miejsc wystawnych a uczęszczanych przez publiczność, która poważnych dzieł, nawet popularnych, nie czyta.

Każdy pociąg w Ameryce, a zwłaszcza pociągi transkontynentalne mają dość dobrze zaopatrzoną bibliotekę i czytelnię, składającą się z wielkiej liczby pism peryodycznych i książek, w rzędzie których nie brak najlepszych dzieł dotyczących historii, fizjografii i polityki amerykańskiej. Przeważnie tych poważnych dzieł nikt nie czyta, czego najlepszym dowodem była potrzeba rozcinania kartek! Dzienniki natomiast i tygodniowe lub miesięczne „magazyny” są rozchwytywane, są w rękę każdego i idą w świat w liczbie potwornej. Wystarczy powiedzieć, że w Kanadzie wychodzi przeszło 1200 czasopism, a w rzędzie tych dziennik „Star”, nie największy z kanadyjskich, rozchodzi się w 82,000 egzemplarzy. Szczególnie ulubioną lekturą całego świata amerykańskiego są liczne, różnorodnie nazywane „magazyny”, przeważnie miesięczne, często bogato i ładnie ilustrowane, różniące się od siebie nazwą i odrębną, bardzo kolorową okładką, ale w planie i układzie zupełnie do siebie podobne. Treść ich to nowele i romanse, podzielone na trzy grupy, zatytułowane: prawdziwe historye, długie historye, krótkie historye. I te to magazyny są strawą istnie demokratyczną, albo raczej są jednym z najbardziej wymownych znamion demokracji amerykańskiego, bo te same magazyny czyta uczonego, polityk, kupiec, robotnik i Negr w chwilach rzadkiej u niego bezsenności.

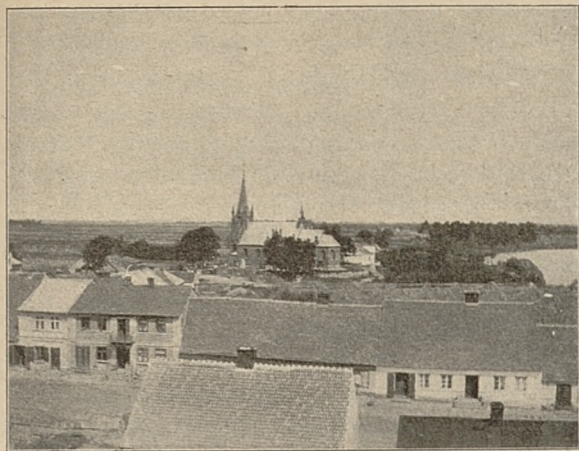
Ale Ameryka jest krainą przeciwieństw. Na atlantyckich wybrzeżach tego lądu stykają się w tych samych wodach tropikowe koralowce z polarnymi rybami (kalblony, codfish), w osi kontynentu styka się na kanadyjskiej ziemi uprawa kukurydzy ze skrajnym zasięgiem owsa, a na pacyficznych wybrzeżach Alaski rosną gęstwiny puszczy leśnych na morenach największych lodowców pięciu części świata. Jak pełną jest przeciwieństw przyroda, tak też różnorodna jest historia i życie ludów, które zamieszkują tę ziemię. Z dziewiczej puszczy wyrastają, tknięte czarodziejską różdżką komunikacji, potężne miasta, w skalnej pustyni górskiej dymią kominny przedsięwzięć górniczych, płoną ognie pieców hutniczych; w pobliżu niebotycznych budynków nowych miast dalekiego zachodu ostały się jeszcze ostatnie wigwamy Indian, a na wiecznie zmarzłej ziemi porzeczy Yukonu służą celom komunikacji równie dobrze koleje, parowce, automobile, jak psy i saneczki Eskimosów.

Do takich przeciwieństw amerykańskich należy stan czytelnictwa, właściwego społeczeństwu, z jednej strony, a stan bibliotek publicznych z drugiej.

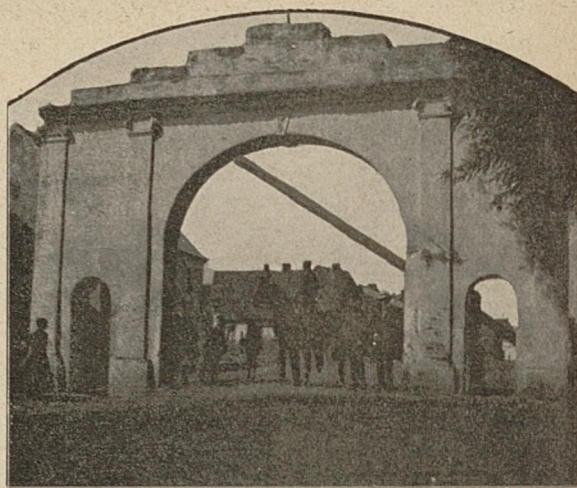
Ostatnie dwa tygodnie pobytu w Ameryce poświęciłem poznaniu niektórych publicznych instytucji, poświęconych kulturze umysłowej, a wyznać muszę, że wprowadzenie tego tematu w plan mej podróży zgotował mi szereg niezwykłych niespodzianek, wzbudził we mnie może więcej entuzjazmu i podziwu, aniżeli poprzedni okres podróży, spędzony na łonie bogatej i różnorodnej przyrody amerykańskiego lądu. Przyroda ziemi i życie amerykańskiego społeczeństwa wśród niej, mimo olbrzymiej bujności splecionych wzajem czynników i zjawisk, wydawały mi się na ogół stosunkiem znacznie prostszym i oczywistszym, aniżeli oderwana do pewnego stopnia od normalnych warunków życia organizacja pracy umysłowej, organizacja, wyrosła w znacznej części w potężnych umysłach wielkich osobników, a skierowana na daleką metę przyszłego rozwoju amerykańskiego społeczeństwa.

Chęć poznania środowisk amerykańskiej umysłowości zawiiodła mię do Stanów Zjednoczonych, do społeczeństwa znacznie od Kanady starszego, a czas krótki sprawił, że ograniczyłem moją wędrówkę tylko do małego skrawka ziemi między Waszyngtonem a Bostonem. Na tej małej, w pojęciu amerykańskim przestrzeni — odległość Waszyngton — Boston via N. York równa się odległości Lwów — Wiedeń via Kraków — rozsiane jest mnóstwo małych i wielkich bibliotek publicznych, oraz trzy potężne centrale: Biblioteki Publiczne w Bostonie i Nowym Yorku, jako też Biblioteka Kongresowa w Waszyngtonie. Pod względem skarbowości bibliotecznych dzierży niewątpliwie pierwszeństwo biblioteka waszyngtońska, pod względem przepychu umieszczenia księżnicy konkuruje Waszyngton z Bostonem (koszty budowl i urządzeń każdej z tych bibliotek wynoszą około 15 milionów koron), pod względem znaczenia społecznego i wspaniałej organizacji, służącej idei uduchowienia społeczeństwa, wznosi się niewątpliwie Biblioteka w Nowym Yorku na pierwsze miejsce. Tę też instytucję poznałem najlepiej. Mojemu serdecznemu przyjacielowi, dr. H. Arctowskiemu, szefowi oddziału przyrodniczego tej biblioteki zawdzięczam wyłącznie, że mimo krótkiego czasu mogłem wejrzeć w wewnętrzne urządzenia tej biblioteki, mogłem zobaczyć drogi, któremi wciśkają się ożywcze duchowe promienie tej wspaniałej instytucji przez twardą skorupę potwornego, mechanicznie raczej, aniżeli społecznie spojonego cielska tłumu nowojorskiego.

Gmach biblioteki znajduje się niemal w cen-



WIDOK ŚLESINA OD STRONY PÓLNOECNEJ.



BRAMA WJAZDOWA W ŚLESINIE OD STRONY IGNACEWA.

fol. P. Michel.

trum rojowiska miejskiego na rogu V alei (Avenue) i 42 ulicy, w pobliżu stacji centralnej i licznych skyskreperów, od których odbija szlachetnością formy, prostotą linii i zielenią otoczenia. Harmonijne tarasy marmurowych schodów wiodą do tej świątyni nauki, w której ład, czystość i wytwórczość stanowią zespół, nigdzie nie rażący zbytkiem lub próżnością. Sala recepcyjna jest bogata, ale poważnymi kolorami przysłania blask marmurów, jedwabi i bronzów. Wszystko w tym budynku jasne, pełne światła, budowa cała wykonana przejrzystie i odpowiednio do celu, któremu służy. Wchodzę do niej jednym z bocznych wejść od 42-ej ulicy, wstępując odrazu na wysoki parter, pod którym mieści się trzypiętrowe podziemie z instalacjami dla produkcji światła, ogrzewania powietrza i wody, wentylacji, vacuum dla czyszczenia, względnie filtrowania powietrza i wody. Wymijam te dziedziny, mniej dla mnie zrozumiałe, których jednak skutki są na każdym kroku widoczne. Nadziemna część budowy oddana jest niemal w całości do użytku publicznego. Z działów technicznych zajmuje parter introligatornia, drukarnia z 5 linotypami dla druku publikacji bibliotecznych, ogłoszeń dla publiczności, jako też cyrkularzy dla wewnę-



fol. P. Michel.

KAMIEŃ NA MOGILE HISTORYCZNEJ W IGNACEWIE.

trznego użytku pomiędzy armią urzędników i pomocników instytucji macierzystej i 40 filii. Drukarnia sporządza prócz tego kartki katalogowe, a zaopatrzona jest w bogaty wybór czcionek. Cały też dział wysyłki i wymiany książek znajduje się na parterze. O ruchu książkowym na zewnątrz i żywej wymianie książek świadczą nie tylko te stosy książek, które w danej chwili przygotowano do ekspedy-

cyi, ale przede wszystkim z jednej strony olbrzymi dział korespondencji w tej sprawie, znajdujący się na II piętrze, z drugiej strony trzy samochody, które pokonywają trudności transportowe krążącego ciągle materiału bibliotecznego.

Administracja i dykcja biblioteki mieści się na II piętrze. Z biblioteki publicznej, jak wreszcie z każdej biblioteki na świecie, można korzystać bądź to w jej własnych do tego celu urządzonych czytelnich, bądź też pożyczając książki do domu. W bibliotece nowojorskiej oba te działy użytkowania są ściśle oddzielone, odrębnie administrowane, noszą też odrębne nazwy: Reference, Circulation-Departement.

Chcąc korzystać z działu pierwszego, można iść bądź to do głównej czytelni, wspaniałej dwupiętrowej sali, mieszczącej się w środ-

ku i na szczycie gmachu, oświetlonej w dzień z góry, wieczorem—rozproszonym światłem lamp łukowych. Zarówno sala główna jak i wszystkie działy biblioteki są otwarte przez cały rok, nie wyłączając świąt i niedziel, od 9-ej rano do 10-ej wieczór.

Sala główna jest urządzona dla 780 czytelników, a liczny sztab obsługi dostarcza natychmiast książek za pomocą elektrycznych wind i telefonów, którymi jest połączona sala główna z magazynem książkowym, t. zw. „Stock”. „Stock” jest to potężna 7-miopiętrowa konstrukcja ogniotrwała, zbudowana wyłącznie z żelaza, z chodnikami wyłożonymi marmurami płytami. Materiał książkowy „Stocku” jest ustawiony podług pojedynczych działów nauki w ten sposób, że każdy dział, dla którego przewidziano w organizacji biblioteki osobny pod-departament referencyjny, przylega ze swymi salami do swego „Stocku”. Przez to specjalizowanie spełnia biblioteka nowojorska najdoskonalej swą rolę wychowawczą, budzi w najszerzych masach interes nie tylko do czytania ale do pogłębiania systematycznego swej wiedzy, a nawet do badania. Wprawdzie przyległa do głównej czytelni sala katalogowa, dostępna dla każdego, jest wspianiem biurem informacyjnym dla każdego wprawionego w mechanizm wielkiej biblioteki, ale początkujący lub sporadycznie zainteresowany w kwestyi szczegółowej, raczej pójdzie do odpowiedniego oddziału, gdzie ma do rozporządzenia nie tylko znacznie mniejszy, alfabetycznie i rzeczowo urządzony katalog kartkowy, ale ma w szefie pieczołowitego, wytrawnego a cierpliwego doradcę, który ma za zadanie nie tylko w danej sprawie pomódz i ułatwić interesantowi, ale ma też osobisty interes i ambycję zdobyć jak najwięcej stałych uczestników swego oddziału, a nawet pracowników-badaczy.

Zanim przejdę do opisu szczegółowych działów departamentu referencyjnego, muszę kilka słów poświęcić głównej sali katalogowej. W sali tej, dostępnej, jak wspomniałem, dla każdego, a obsłużonej przez kilku oficjalistów, zarówno dla ochrony katalogu, jak dla pomocy interesantów, znajduje się kartkowy katalog biblioteki nowojorskiej, zarówno podług autorów jak rzeczowy. Prócz tego znajdują się jednak tutaj trzy katalogi alfabetyczne podług autorów: biblioteki kongresowej w Waszyngtonie,

biblioteki British Muzeum w Londynie i Bibliothèque Nationale w Paryżu. Co za niestychana sposobność nie tylko wejścia w zawartość tych najwspanialszych księgozbiorów świata, ale także i korzystania z nich pod bardzo korzystnymi i łatwymi do spełnienia warunkami.

A teraz przejdźmy do działów specjalnych biblioteki nowojorskiej. Różpocznię od krótkiego przeglądu działu przyrodniczego, który pozostaje pod kierunkiem mojego przyjaciela d-ra Arctowskiego, znakomitego badacza Antarktydy, a szczególnie cenionego w szerokich kołach nauki amerykańskiej za jego pełne zarówno cierpliwości jak inwencji studia nad mechanizmem wahań klimatycznych. Dr. Arctowski ma jednak w swej nieco odleglejszej przeszłości naukowej wspomnienia gruntownej pracy w zakresie geologii, technologii i chemii, a jego pierwszorzędnym współudziałem w agitacji za badaniem Antarktydy zdradził jego instynkt apostołski. Są to same pierwszorzędne właściwości na wychowawcę-bibliotekarza.

Dział przyrodniczy zajmuje dwie wspaniałe sale—czytelnie, połączone z podręczną biblioteką, obejmując zbiór czasopism, w rzędzie których mnóstwo rzadkich kompletów, encyklopedyi i podręczników lub dzieł zbiorowych. Dział ten obejmuje następujące nauki: matematyka, fizyka, chemia, astronomia, geodezyja, meteorologia, geografia fizyczna, geologia, mineralogia i paleontologia. Przeciętnie korzysta z rady Arctowskiego dziennie 27 ludzi, rocznie 10098 czytelników, a kierownictwo Biblioteki podnosi w swym sprawozdaniu z uznaniem, że w ostatnich latach (dr. Arctowski kieruje tym działem od 3 lat) charakter pracy w dziale tym znacznie się pogłębił, a udział czytelników w ostatnich dwu latach wzrósł o 68%.

Specjalny katalog, zarówno podług autorów, jak rzeczy, obejmujący blisko 104,000 tytułów, jest wyłącznym dziełem Arctowskiego. Zazdrość chwyta, gdy się widzi te skarby zawodowych czasopism lub gdy się rzuci okiem na 5 sporych pudeł kartkowego katalogu, które przyjaciel rozkłada: to tylko geologia regionalna! Aby uniknąć nieporozumienia, przypomnę, że tak jak każdy oddział, tak i oddział nauk przyrodniczych ma swoją czytelnię z biblioteką podręczną, połączoną bezpośrednio z przyrodniczym działem książkowego „Stocku”.

C. D. S.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Tadeusz Radliński.

„Gdzie wschód się kończy...“

2)

Życie wagonowe na kolei Syberyjskiej jest bardzo miłe. Wagony noszą nadzwyczaj lekko i bez wstrząśnień. Tor widocznie jest dobry (od jednego inżyniera angielskiego w Chinach słyszałem, jako od specjalisty, że kolej Syberyjska po wojnie jest zupełnie dobrze przebudowana) — pulmamy ciężkie i szybkość niezbyt zawrotna — przeciętnie 800 wiorst na dobę, t. j. niecałe 30 w. na godzinę dla naszego „pośpiesznego“ pociągu Nr. 6, 560 wiorst dla pocztowego Nr. 4, 900 wiorst dla ekspresu i 450 w. dla III i IV kl. Wszystkie miejsca I, II i III kl. mają placzki. Każdy więc ma swoją ławkę, czy to na dole, czy na górze do spania. Pożądane są, oczywiście, miejsca na dole. Całe dni schodzą na pogawędkach, picie herbaty, grze w karty lub w szachy i czytaniu. W naszym przedziale na 4 osoby jedziemy: my z Włodkiem, pułkownik inżynierzy z Władywostoku i „podriadczyk“ z Irkucka. Pułkownik bardzo miły człowiek, masę ciekawych rzeczy opowiada o Dalekim Wschodzie, budowaniu kolei i fortec. Stiepan Jakowlewicz, którego jako „podriadczyka“ pułkownik ocenia na 200.000 rubli, przedstawia ciekawy typ człowieka (Self-made-mana), który z niczego wyszedł „na ludzi“. Gładki w rozmowie i w obejściu, lat około 50, ongi jako robotnik wzięty „w podriad“ gdzieś z gubernii smoleńskiej, nie wrócił po robocie do Smoleńszczyzny, lecz został na Syberji, przeciskał się przez życie, pokazując twarz słodką pod górę, a kulak ku dół, został starszym w „arteli“, a potem i sam „podriadczykiem“, i jał sprowadzać swoich ziomków ze Smoleńszczyzny, biorąc „podriady“ przy budowie kolei Syberyjskiej. Teraz umawiają się z pułkownikiem o „podriad“ na 200.000 rb. przy budowie forticy we Władywostoku. Zawsze pogodny, uśmiechnięty, pokazując szereg chłopskich, białych, zdrowych zębów, mówi na wszystko śpiewnie „konieesno“ i z wielką godnością ofiarowuje nam po egzemplarzu ułożonej przez siebie kantaty cerkiewnej.

Typ bardzo ciekawy.

W przedziale obok jedzie para kupiecka z Irkucka. Dosyć „krupni“, mówi o nich Stiepan Jakowlewicz. Ona — gruba i brzydka — usiłuje wciąż wspomnieć w rozmowie, że nasiedziała się w Berlinie, i że tam jest taki dom Wertheima, gdzie wszystkiego można dostać. On — typowy, brodaty, lisy kupiec — milczący i brzuchaty. Po drugiej stronie mamy „muzykalny“ mały przedziałik na 2 osoby, gdzie półroczna Lienoczka właśnie wypracowuje najlepszą emisję głosu. Życiodawcy tej primadony, on — spokojny, zachudzony student matematyki, właśnie jadący do Czyty objąć posadę pedagoga w miejscowym gimnazjum, nianczy po całych dniach Lienoczkę, z której wokalnych zdolności i zamiłowań jest bardzo dumny; ona, Olga Siergiejewna —

ruska krasawica z pod Tuly z „obrazowaniem“, po całych dniach spaceruje po korytarzu wagonu. Staczam z nią często gorące dysputy. Jest zajadłą nacyonalistką, jak wszyscy zresztą, których dotąd spotykaliśmy. Wspomnę jeszcze o 2 porucznikach Nikołaju i Aleksandrze Nikołajewiczach — „typowe“ typy oficerów. Starszy, przystojny z akselbantami „pulkowego“ adjutanta (wobec poważnego wieku p. pułkownika i często znacznej różnicy w wieku z panią pułkownikową, ustalił się zwyczaj wybierania na adjutantów przystojnych poruczników; jako filolog sędzę, że słowo adjutant pochodzi od łacińskiego ad-iuvo, co znaczy dopomagam). Aleksander Nikołajewicz jest au-courant wszystkich, ale to bez wyjątku wszystkich przedstawielek płci pięknej w całym pociągu. Znalazł całą paczkę kursistek, jadących do Czyty, i straszna z nim zapanowała „drużba“. Ich przyjaciel, golowąsy artylerzysta-podporucznik, zna Warszawę — spędził tam dobę przejazdem; trafił na „Irydyona“ (!) do Teatru Polskiego. „Zeskuczył się znajetie, ano patom kak paszoł ja k Jackowskiemu! Preliestnyj gorod!“ O wieszczu nieśmiertelny! nie obróć się w grobie!

W tym samym wagonie, co my, jedzie młodziutki golowąsy Iwan Iwanowicz o polskim nazwisku. Dziadowie po 30 r. wyemigrowali do Jekaterynowosławskiej gub. i jest on już zupełnie „ruski“. Zdał egzamin na lotnika i jedzie z Odesy do Władywostoku odbywać służbę wojskową. Ponieważ Włodek, mój towarzysz podróży i przyjaciel, jest również lotnikiem, zapoznają ich więc ze sobą. Dwóch lotników jak na jeden skromny wagon kolei syberyjskiej to stanowczo za dużo! Okazuje się, że „Fan-Fanowicz“ jest skromniejszy i uznaje pierwszeństwo Włodka; więc zapanowuje doskonała zgoda. Za to ja z pułkownikiem cieszymy się, słuchając popularnych wykładów o awiacji i ich nieskończonych przygod lotniczych.

Trzeba przyznać, że kolej Syberyjska jest doskonale urządzona do niemęczącej, a taniej podróży, a więc właśnie zastosowana do potrzeb rosyjskich. Rano robimy kolejkę pod drzwiami dwóch w każdym wagonie umywalni. Ja zawsze stawałem do konkursu z „berlińską“ kupczychą, choć nie zawsze wychodziłem zwyciężcą, bo mnie często baba wyprzedzała. Umywszy się pięknie, człek z niecierpliwością wyczekuje pierwszego przystanku, żeby pobiedz po „kipiatok“. Cały pociąg już czatuje na takowy, i skoro tylko pociąg stanie — a zwykle urządzony jest rano dłuższy przystanek właśnie w tym celu, tłumy wysypują się na peron z wszelkiego rodzaju imbrykami. Mój „Helios“ robi sensację. Nawet berlińska kupczycha powiedziała mi przychylnie, że widziała taki u Wertheima. Nabieramy więc wody, ja lecę na bazar po świeże bulki,

mleko, jaja i t. d. Co chwila ktoś z „bazaru” radośnie wykrzykuje, że coś jest doskonałego: więc to jarząbek syberyjski na gorąco, to kurczę, to kuropatwa. Bardziej arystokratycznie usposobieni ludzie rozpoczynają dzień w bufecie od wódki, „szczy” i prosięcia (stałe się to jada na Syberyi i jest to, rzeczywiście, bardzo smaczne!) Po 15 minutach postoju pociąg rusza, a wraz z nim rytmicznie „ruszają” się liczne szczęki pasażerów, zgodnie unicestwiając nabyte zapasy i popijając obficie herbatą.

Wogóle blaszany imbryk do herbaty i poduszka, to niezbędni towarzysze podróżnika na drodze Syberyjskiej

Drugi dłuższy postój zwykle mamy po południu na obiad. Wszyscy pędzą na wypródkę do sali II klasy, kto zdąży pierwszy zasiąść przed talerzem po brzegi nalany pysznym „szczy”, do którego dolewa się łyżkę lub dwie śmietany; w środku pływa smakowity kęs sztuki mięsa. Szczy jest to tułejsza potrawa narodowa. W zimie, ruszając w drogę, nagotowuje się całą faskę takiego szczy, jak u nas ongi faskę bigosu, i wystawia taką faskę na parę minut na 40-stopniowy mróz dla ostudzenia. Za chwilę robi się z tego bryła lodu, którą wkłada się do worka, na sanie i dalej w drogę; na każdym popasie odrąbuje się siekierą porcyę zupy, doprowadza ją do stanu płynnego, niżej punktu wrzenia i ...o rozkoszy — zjada się ją. Wobec braku ruchu ja kontentuję się jedną tylko porcyą szczy, ale moi sąsiedzi często zjadają po dwie i do tego pysznego prosiaka z kaszą, zamiast którego ja zwykle zasiadam do pisania kart. Co dobę wysyłam po jednej — powinny dochodzić co dwie doby. Dowiedziałem się jednak potem, że, pewnie dla oszczędzenia sobie tatygi, nie dochodziły wcale. Ta sama operacja bufetowa powtarza się po raz trzeci wieczorem.

Droga Syberyjska jest jednotorowa; podczas wojny, gdy chciano ją doprowadzić do stanu możliwej wydajności ruchu, urządzono co milę mniejszej rozjazdy, na których nasz Nr. 6 wcale nie staje. Zatrzymujemy się zwykle co godzinę. Od Czelabińska wzdłuż całej drogi Syberyjsko-Zabajkałskiej ułożony już jest drugi tor, jeszcze nie zupełnie wykończony. Pierwszego dnia po wyjeździe z Czelabińska spozstrzegać się dają liczne jeziora po obu stronach plantu. Beznadziejny jakiś smutek

wyjeje wraz z zimnym wiatrem północnym od tych olbrzymich wodnych przestrzeni, nikomu na nic nie potrzebnych... przypominają się Sieroszewski, Szymański — hej! Iza się w oku kręci — te martwe stepy i pustkowie zimną wodą zalane, ileż mówią podróżnikowi z Zachodu!

O 11 w nocy stajemy w Petropawłowsku, o którym masę z zachwytem naopowiadał pewien inżynier Polak tam jadący. Naokoło bagna i jeziora, płaskie bezkresne przestrzenie: chłód, błoto, szaruga! Dzięki Ci, Panie, że nie jestem owym inżynierem! Za nicbym nie chciał tu żyć.

Przez następny dzień zauważyć się dają gdzieś tam najprzód maleńkie strzępki, a potem, wraz z biegiem pociągu, coraz większe kłaczkę niestopniałego śniegu, tające się w cieniu. Dochodzę do wniosku, że wjeżdżamy w obszary, będące jeszcze w uścisku zimowym. Miejscowi potwierdzają te moje spostrzeżenia, twierdząc, że w Tomsku napełwno będzie jeszcze śnieg. I rzeczywiście nazajutrz rano, gdy otwieram oczy na stacyi Tajdze, skąd idzie bocznica 82 wiorsty długa do Tomska, zalewają mnie potoki białego jasnego światła, a chłód przejmujący każe zerwać się z posłania. Wspaniały zimowy krajobraz: jarzące wysokie słońce oświetla ogromne lasy całe w pysznej białej śniegowej szacie. Błyszcza miliony iskier.

Przepyszna zima w pełnym rozkwicie, 5^o mrozu, bajecznie oszronione kity drzew zwieszają swe okiście... Mroźna królowa północy — zima — wprowadza nas w świat zaczarowany, pełen blasku i przepychu.

W państwie zimy dnia 22 maja — gdy u nas słowik cudnie zawodzi! „In wunderschönem Monat Mai“, gdzie natura cała odmlodzona i odnowiona w miłosnym uścisku dąży do unieśmiertelnienia się w nowych pokoleniach, tu śmierć trzyma w bezlitosnym uścisku zmarznięty i zgnębiony świat, a tysiące błyszczących cudnie kryształów śniegu w jarzącym słonecznym blasku radośnie propaguje niebyt — nirwanę.

Przypomina mi się obraz z Zachęty Sztuk Pięknych, przedstawiający walkę młodzieutkiego nagiego życia, oklep siedzącego na cudnym białym rumaku i stojącego do walki z zakutą w pancerz śmiercią, na kruczym dzianecie, miecz wynoszącą do cięcia.

C. D. N.



Listy do Redakcyi.

Tyle pouczający artykuł p. A. Chętnika p. t. Z zielonej puszczy czytałem z wielkiem zajęciem i pożytkiem. Nawet sam goły spis wyrażen kurpiowskich zawiera bardzo cenne rzeczy.

Jedna z nich jest nawet powodem mej gorącej prośby do szan. autora. Chodzi mi mianowicie o wyrażenie: „y ty Jegienio!"; szan. autor dodał, że to „wyraz ubliżający“, ale nie powiedział wyraźnie, czy stosuje się on do kobiety, czy też do mężczyzny, tudzież, jakiego rodzaju wyraża on ubliżenie? Czy charakteryzuje złośliwość, jak np. jędza, czy też stronę moralną osoby, jak złodziej, pijak, cudzołóżnik lub coś podobnego. Za laskawe uzupełnienie w tym kierunku podanej przez siebie wielce ciekawej wiadomości byłbym szan. autorowi bardzo a bardzo zobowiązany.

Sz. Matusiak.

oooooooo

Ze stowarzyszeń.

Na LVI posiedzeniu w d. 20 stycznia 1914 roku Wydziału Konserwatorskiego Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości omawiano następujące sprawy.

Kościół w Czerniakowie. Przybyły na posiedzenie proboszcz miejscowy zwrócił się z prośbą o kosztorys odnowienia wewnętrznego kościoła, a zwłaszcza odnowienia malowideł. Uchwalono wydelegować w tym celu komisję, złożoną z pp. Husarskiego, Szyllera i Trojanowskiego, zapraszając do niej prof. Makarewicza.

Kościół w Staromieściu — Lelowie (pow. włoszczowski). P. Kuder przedstawił do oceny wykonany przez siebie projekt powiększenia kościoła barokowego, murowanego, kilkakrotnie już powiększonego i przebudowanego. Po rozpatrzeniu przez komisję rozpoznawczą uznano, iż powiększenie w zasadzie jest zupełnie możliwe, a projekt p. Kudera pod względem konserwatorskim rozwiązany jest racjonalnie; zwrócono jednak uwagę na projektowane skasowanie skarpi, niekorzystne dla wyglądu i konstrukcyi.

Kościół w Garbowie (pow. puławski). P. Kamiński odczytał referat, objaśniony planem i zdjęciami rysunkowemi, o kościółku drewnianym św. Wojciecha. Wiadomość o istnieniu kościoła drewnianego podają źródła już [z r. 1326, obecny jednak kościół zbudowany został zapewne w końcu XVII w., murowana zaś zakrystya w 1731 r. Murowana część nawy z frontonem dobudowana została znacznie później, w początku XIX w. i stanowi ujemne pod względem estetycznym przedłużenie całości. Wnętrze bardzo ciekawe, ozdobione kopułą i galeryjkami, wykazuje ślady malowideł, w większej części ukrytych pod grubą warstwą pobiałą. Kościół posiada piękny wielki ołtarz i cztery boczne, z których jeden zawiera obraz św. Leonarda w ku-

tej, posrebrzanej sukience; na uwagę zasługuje również ciekawa ambona i dwa oryginalne, w drzewie cięte nagrobki, bez śladu napisów. Przy kościele znajduje się ładna dzwonnica, łącząca się z kościołem w organiczną całość, przy plebanii zaś drewniany stary śpichlerzyk z oryginalnie pomyslanym ganikiem. Stan kościoła jest wprost oplakany: stary, gontowy dach przecieka, wzgórze, na którym stoi kościółek, od strony dzwonnicy osypuje się i tworzy niczem nie zabezpieczoną wyrwę, zagrażającą poderwaniem dzwonnicy i kościółowi. Ponieważ ze względu na swe położenie kościółek ten nadaje się na kaplicę przedpogrzebową, proboszcz miejscowy nosi się z zamiarem restauracyi, wobec czego należy wejść w porozumienie z proboszczem, celem ułatwienia racjonalnej restauracyi. Wnioski referenta uchwalono, powierzając stałą opiekę nad kościołem p. Kamińskiemu.

Kościół św. Jerzego w Warszawie. Pp. Stefański i Wojciechowski referowali rezultat badań źródłowych w sprawie zburzenia tego kościoła, wykazujący na podstawie dokumentów, że zarówno wiadomości w prasie codziennej o dokonaniem jakoby w listopadzie p. r. zburzeniu jak i zarzuty, czynione z tego powodu Tow., są zupełnie sprzeczne z rzeczywistością, gdyż kościół ten zburzono wraz z przyległemi zabudowaniami w końcu 1895 lub początku 1896 r., plan bowiem posesyi Nr. 5933, na której znajdował się kościół, sporządzony we wrześniu 1896 r. i dołączony do aktów hipotecznych, podaje wszystkie budynki na tej posesyi jako zburzone, i to samo zaświadcza odezwa bud. Żochowskiego z 27/XI, 1897 r. do wydziału ubezpieczeń. Na miejscu kościoła postawiona została drewniana szopa, zaznaczona na planie miejskim z marca 1913 r., którą to szopę rozebrano w listopadzie p. r., gdy przystąpiono do budowy hal targowych. Podczas kopania fundamentów natrafiono na kości, pochodzące z dawnego cmentarza skazańców i samobójców, co zwróciło uwagę prasy i dało powód do fałszywych pogłosek. Obecny właściciel posesyi, p. Gettlich, ofiarował Tow. piękny dzwon z 1738 r., pochodzący z zabudowań klasztornych. W sprawie tej postanowiono zredagować komunikat do pism z wyjaśnieniem istotnego stanu rzeczy, po przeprowadzeniu dodatkowych badań.

Ruiny zamku w Chęcinach. Na skutek interwencyi Wydziału Zarząd postanowił przeprowadzić roboty konserwatorskie i uchwalili wyasygnować potrzebne na ten cel fundusze, których wysokość będzie ustanowiona przez delegatów przy oględzinach na wiosnę.

oooooooo

Kronika krajoznawcza.

Od Obywatelskiego komitetu plantacyjnego otrzymujemy z prośbą o podanie do wiadomości publicznej następującą odezwę:

„Głos ogółu stwierdza, że plantacye miejskie są

perłą Warszawy i nie tylko jej wstydu nie przynioszą, ale śmiało mogą się porównać z lepszymi tego rodzaju urządzeniami wielkich miast świata.

Jednakowoż utrzymanie ich na tym, względnie wysokim poziomie, kosztuje dużo pracy i pieniędzy. Mozoli się nad nimi cała armia pracowników, suszy sobie o nie głowę Obywatelski Komitet plantacyjny, dba o nie życzliwie zarząd miasta.

Tymczasem ze strony wielu obywateli te plantacje, nadając Warszawie wybitną cechę kultury, narażane są na ciągle uszkodzenia.

Wszak dla tego tylko naokoło parków i zieleńców musiano dać kosztowne ogrodzenia, by je uchronić od zniszczenia. A tymczasem nie tylko w Anglii, ale i w Niemczech mnóstwo parków i zadrzewień łączy się bezpośrednio z ulicą i trawniki ich graniczą z brukiem lub chodnikiem.

Gdyby pieniądze, wydane na drogie te ogrodzenia, można było użyć na roślinność, o ileż, byłaby piękniejszą i obfitszą w mieście!

Niszczenie plantacji odbywa się oddawna, ale niepodobna ścierpieć sprawek najświeższych.

Oto przed kilkoma dniami zrabowano tulipany przed kościołem wizytek.

Na Nowym Mieście znajdują się na zieleńcu pyszne kosańce (Iris), w rzadkich a pięknych odmianach. Skoro tylko zakwitną, znikają zaraz stamtąd, ale za to przenoszą się do wielu okien okolicznych mieszkań

Zamiast kupić za dwa grosze borówek do przybrania święconego, ten i ów woli ukraść bukszpan z plantacji, a na choinkę dzieciom zrzywa drogi świerk kołący (*Picea pungens*) z nowych zadrzewień w drodze do 5-go mostu.

Gdy zakwitną piękne bzy na Krakowskim Przedmieściu, trzeba czempredziej je przyciąć, bo inaczej dla kwiatów, zrabowanych wraz z gałązkami poginą i same krzewy.

I tak dalej.

Ale tak dalej być nie powinno.

Komitet plantacyjny odwołuje się niniejszym do współobywateli o pomoc należytą i niezbędną.

Niech oni czuwać złączą nad całości tych pięknych plantacji, które są własnością nie jednego,

lecz wszystkich i nie pozwolą nikomu psuć ich i niszczyć w jakikolwiek sposób.

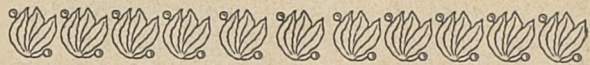
Niech rodzice rozciągają opiekę nad niesformnymi dziećmi i wdrożą w ich młode umysły, że nie godzi się wyrwać kwiatka, który cieszy oczy i raduje serce każdego mieszkańca rodzinnego miasta.

A jeżeli rodzice robić tego nie chcą, powinien im to każdy przypomnieć. Ma zaś do tego prawo, bo jak głoszą napisy w parkach naszych: „Plantacje miejskie powierza się opiece publiczności“. Komitet plantacyjny ma nadzieję, że ta jego odezwa nie pozostanie bez skutku dobroczynnego dla całej miast.

Prezes Komitetu opieki nad plantacjami
m. Warszawy *E. Jankowski*.
Sekretarz *Tadeusz Muszyński*.

Ze swej strony wzywamy czytelników naszych i członków Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego do występowania w obronie piękna naszego kraju zawsze i wszędzie, gdzie pięknu temu jakie bądź niebezpieczeństwo zagrażać może i zwracamy uwagę na to, że nic tak nie szpeci nas, jako narodu, jak brak odwagi cywilnej tam, gdzie o obronę sprawy publicznej chodzi: nie mijajmy więc w milczeniu objawów dostrzeżonego szkodnictwa, lecz karśmy je doraźnie.

Redakcja „Ziemi“.



MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ
ROBOTY

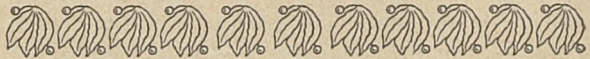
POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,

od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



TREŚĆ: *Bolesław Olszewicz* — W pilnej sprawie naukowej. Dwory, zainki i pałace. *Elżbieta Oczykowska* — Zamek w Łowiczu (c. d.) (z 2 ryc.). *Al. Janowski* — Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych (c. d.). *Eugeniusz Romer* — Biblioteka Publiczna w Nowym Yorku. — Z naszej turystyki. *Tadeusz Radliński* — „Gdzie wschód się kończy.“ (c. d.). — Listy do Redakcji. — Ze stowarzyszeń. — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Zakopane. Jezioro Szczyrbskie (Tatry). Zabytki Ślesina: Widok Ślesina od strony północnej. Brama wjazdowa w Ślesinie od strony Ignacewa. Kamień na mogile historycznej w Ignacewie. — Wkładka: Synagoga w Sopoćkiniach z XVII wieku (pow. augustowski).

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć**.